ROK CZWARTY.

—

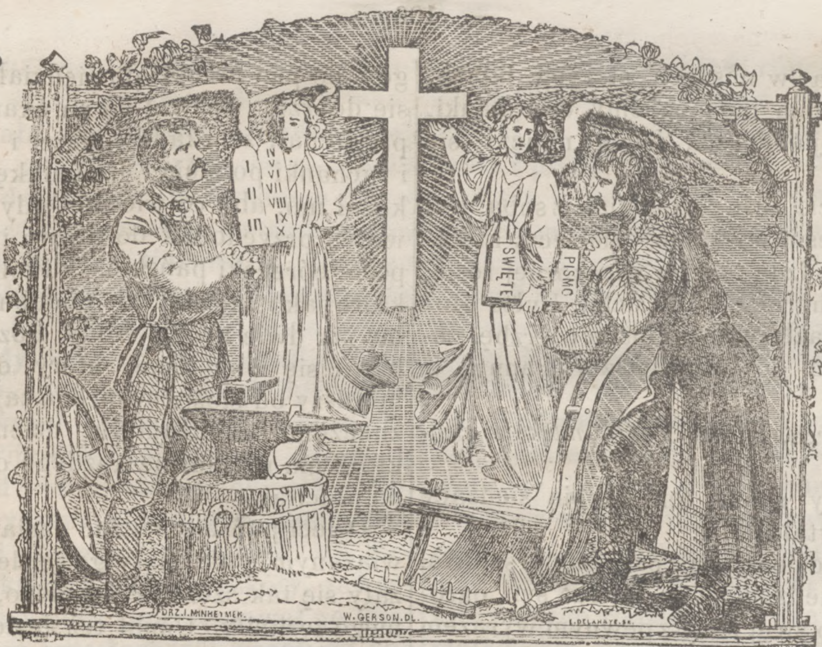
№ 14.

WARSZAWA

D. 22 Marca (3 Kwietnia)

1859.

Niedziela 4ta postu.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnéj Nr. 1527.

Prenumerata rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie kop. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.‘ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Spraw, prosimy Cię wszechmocny Panie, abyśmy, którzy za nasze uczynki słusznie trapieni jesteśmy, byli napełnieni pocieszeniem Twej łaski. (Kollekta na Niedzielę czwartą postu).

Modlitwa wysłuchana.

(Zdarzenie prawdziwe).

—

Przed trzydziestu kilku laty, przy końcu maja, w czasie ciepłego wieczoru siedział na ganku przed dworem hrabia Wacław, wraz z młodą małżonką i dwiema pięcioletniemi córeczkami, bliźniętami anielskiej piękności, ciesząc się ich słodkim widokiem. Mały jego synek spoczywał uspiony w kołysce, a troskliwa matka co kilka chwil zapytywała niańki, czy spi dziecina, czy mu nie duszno, i upominała, aby ją pilnowano i dano jej znać gdy się przebudzi. Przed domkiem drewnianym, ale schludnym i czystym, zewnątrz obielonym, który stał przy ogrodzie pańskim niedaleko dworu, siedział Maciej ogrodnik z żoną swoją Gertrudą, odpoczywając po pracy dziennej, i ciesząc się widokiem najmłodszego dziecka, swego ulubionego Jasia, który mu jedynie w domu pozostał, gdyż starsze dzieci poszły w świat szukać dla siebie losu.

— Moja kochana, rzekł Maciej do swej żony po chwili namysłu i zadumy, w jaką go cuda Boskie wprawiły, co my tu z tym chłopczyną naszym zrobimy?.. Do książki ma wielką ochotę, dobrze już czyta, nieźle pisze, a nawet ministranturę już umie i zawsze powtarza, że będzie księdzem. Dobraćby to rzecz była, ale cóż z tego, kiedy nas nie stać na szkoły, a leśniczy, który go dotąd uczył, już się ze służby oddala.

— Ej, co tam gadasz mój kochany, odrzekła Gertuda; niema się o co turbować. Bóg jest dobry i opatrzny, On nam dopomoże; wreszcie choćby nam przyszło i gębie ująć i wszystkę chudobę sprzedać i w jednej koszuli pozostać, to ja tego chłopca nie opuszczę, bo mam w Bogu nadzieję, że on dla nas będzie po-

ciechą i pomocą w naszych starych latach. Starszym dzieciom nie mogliśmy dać nauki, niechże przynajmniej ten jeden nauczy się czegoś.

Gdy tak Maciejowie rozmawiali z sobą, dał się słyszeć prześliczny śpiew dziecięcy, którego tony rozchodząc się po wieczornej rosie, tworzyły miłą harmonię dla ucha. Byłto głos Jasia, który wlazłszy na pobliską wierzbę, zaczął nucić pieśń do Najświętszej Panny, w słowach:

Gwiazdo morza, któraś Pana, mlekiem swojem karmiła.

Usłyszawszy śpiew ten hrabia siedzący na ganku, zapytał się:

— Czyje to dziecko tak przyjemnie śpiewa, a gdy mu powiedziano, że to Jaś syn ogrodnika, rzekł do swej żony z pewnym wyrazem uczucia:

— Miły ma głos ten chłopczyna, wartoby pomyśleć o jego dalszym losie, zwłaszcza, że i rodzice jego są ludzie poczciwi.

— Słusznie, odrzekła hrabina; i od owego to szczęśliwego wieczoru nie przestawał Jasio zwracać na siebie baczniejszej uwagi pana hrabiego i jego dobrej małżonki.

Nazajutrz, gdy pan hrabia szedł do ogrodu, spotkał przed domem Maciejowę i zapytał się jej, czy słyszała wczoraj wieczorem pobożny śpiew Jasia, a gdy ta z uszanowaniem odpowiedziała, że słyszała, rzekł pan hrabia do niej: on będzie księdzem, bo ma głos miły i dźwięczny, ja wam do tego dopomogę, bo lubię tego chłopca; oddajcie go tylko do szkółki w sąsiedniem miasteczku, niech się dobrze początków nauczy. Na te słowa zadrżało serce poczciwej matki, łzy radości wytrysły jej z oczów; ucałowała ręce dobrego pana, dziękując mu za radę i obietnicę a po jego odejściu uklęknąwszy z pokorą, wzniosła gorące modły ku niebu, prosząc Boga, aby jej pozwolił doczekać tego szczęścia, iżby ujrzała syna swego kapłanem.

W kilka dni po tej rozmowie z hrabią udała się Maciejowa do pobliskiego miasteczka, ugodziła się z nauczycielem o zapłatę i Jasio został policzony w liczbę uczniów szkoły elementarnej. Chodząc przez lat cztery do szkółki, uczył się bardzo dobrze, był moralny, pilny i pracowity. Po niejakim czasie, gdy się pan hrabia dowiedział, że Jaś uczy się dobrze, wezwał go na examin, a gdy się przekonał, że i ładnie pisze i płynnie czyta i rachunki pojmuje i gramatykę rozumie, rozkazał mu, aby co wieczór, gdy ze szkółki powróci, przychodził do dworu i uczył czytać i pisać córeczki pańskie, kilkoletnie panienki, które jako bliźniaczki podobne były do siebie jak dwie krople wody. Pozwolił mu nadto bawić się z synkiem, który o trzy lata był młodszy od siostr swoich, a za to miał Jaś wyznaczone trzy trojaczki dziennie za naukę, które mu regularnie każdego dnia pani hrabina płaciła.

Dzieci pańskie widząc Jasia do siebie przywiązanym, pokochały go serdecznie, przywiązały się tak szczerze do niego, że nawet bez niego tęskniły. Umiał też Jasio z niemi postępować; w zabawkach dziecinnych miał on niewyczerpane pomysły.

Ale i dla rodziców swoich był dobry i posłuszny, nie marnotrawił czasu napróżno. Często czytywał rodzicom swoim różne książeczki, które ze dworu przynosił jakoto: Pielgrzyma w Dobromilu, bajki Krasickiego, naukę moralną, katechizm Fleurego, a gdy mu się czytać sprzykrzyło, stroił sobie ołtarzyki, ozdabiał obrazkami i śpiewał jak ksiądz w kościele.

Poznali niedługo Jasia wszyscy z dobrej strony i ksiądz proboszcz i nauczyciel miejski i ludzie ze wsi i pokochali go szczerze, bo on dla wszystkich był grzeczny, posłuszny i znał dla wszystkich szacunek. Ale nadchodził już czas, gdzie wypadało pomyśleć o dalszej jego nauce, bo dochodził do lat trzynastu wieku, a jeszcze do szkół wyższych nie poszedł.

Niepokoiło to poczciwą jego matkę, która ciągle o losie jego myślała; aliści pewnego razu nad wszelkie spodziewanie wzywa pan hrabia Macieja i objawia mu swoję wolę w tych słowach: że ponieważ wyjeżdża do stolicy na lat kilka dla edukacyi swoich dzieci, postanowił z sobą zabrać i Jasia i tam go do szkół publicznych posyłać. Przyjęli z radością tę nowinę poczciwi Maciejowie, popłakali oboje nad chłopcem i pobłogosławiwszy go, puścili w drogę. Przybył Jaś do Warszawy, uczył się rok jeden z pańskiemi dziećmi, prywatnie pobierając nauki, a w drugim roku

zapisany do szkół publicznych do klassy drugiej, z końcem szkolnego roku dostał promocyę z pochwałą do trzeciej i nadzwyczaj się ucieszył, gdy przeczytał swoje imie i nazwisko wydrukowane w Monitorze Warszawskim. Lecz serce matki, chociaż czuło, że dziecku jej dobrze, nie mogło jednakże znieść tego oddalenia; tęskniła Maciejowa za synem, często łzy wylewała, że Jasia swego nie widzi, i gdy państwo przyjechali z Warszawy, prosiła, aby Jasio mógł być przeniesiony do szkół owczesnych wojewódzkich Xięży Pijarów do miasta, które o milę tylko od wsi hrabiego odległe było. Stało się jej życzeniom zadosyć; dobry pan hrabia i tu jej dopomógł, zaprosił do siebie księdza rektora i prefekta szkoły, zawezwał Jasia do examinu, zaprezentował go Pijarom, którzy po przesłuchaniu uznali go być zdatnym do klassy trzeciej i od roku szkolnego znów Jaś był policzony do liczby uczniów szkoły wojewódzkiej jako trzecio-klasista. Tu już serce dobrej matki było zupełnie uszczęśliwione, bo mogła go częściej widywać, gdyż Jasio prawie co tydzień opowiedziawszy się księdzu prefektowi, robił piesze wycieczki do swych rodziców co niedziela i święto i znów raniutko w poniedziałek do szkoły powracał. Skromny, pobożny, pilny, zyskał dobrą opinię rektora i profesorów, zyskał miłość współ-kolegów, a choć był ubogi, kochali go i panicze bogaci, bo umiał na ich miłość zasłużyć.

Nareszcie nastała zmiana rzeczy, która omało nie zniszczyła nadziei rodziców Jasia; powstała w kraju wojna, uczniów rozpuszczono, szkoły zamknięto i Jasio po ukończeniu pięciu klass zmuszony był opuścić szkoły i przerwać dalsze nauki. Lecz przywyknąwszy do pracy, żeby nie był ciężarem rodzicom, żeby nie zapomniał czego się nauczył, poświęcił się nauce dzieci urzędników w mieście i w tym zawodzie półtora roku przetrwał. Nie wiedział Jasio, co dalej z sobą począć, gdyż po wojnie wszelkie zakłady naukowe były jeszcze nieurządzone, a on chciał ukończyć szkoły i uniwersytet warszawski; lecz oko dobroczyńcy czuwało nad nim troskliwie. Przybywa do miasta hrabia, daje mu list do rządcy dyecezyi i radzi, aby się udał do stolicy biskupiej dla złożenia examinu z nauk. Posłuszny Jasio radom swego opiekuna, idąc również za własnem natchnieniem i życzeniem swoich rodziców, wstąpił do seminaryum, a po czterech latach nauki i próby wyświęcony został na godność kapłana. Po przybyciu do rodziców, pierwszym jego obowiązkiem było złożyć szczere podzięki państwu, zameldować się swemu proboszczowi i prosić o pozwolenie ołtarza dla odprawienia pierwszej mszy Śtej zwanej *prymicyami*. Nadszedł ów dzień, tak dla niego wielki i święty, tak dla rodziców jego pożądany, tak dla hrabiostwa miły i radosny. Ksiądz Jan, (którego odtąd tak nazywać będziemy) otoczony licznem gronem kapłanów, pomiędzy którymi był i jego szanowny rektor Pijarów, wobec rodziców i mnóstwa wiernego ludu stanął przed tym samym ołtarzem, przed którym jego rodzice zawierali niegdyś śluby małżeńskie, przed którym on jako niemowlę chrzest Sty przyjmował, przed którym do mszy Stej jako młodzieniaszek sługiwał, i z gorącą modlitwą w duszy, odprawił bezkrwawą ofiarę. Co się tam działo w sercu poczciwej matki, w sercu dobrego ojca, kiedy przystąpili do odebrania błogosławieństwa kapłańskiego, przez włożenie rąk na ich głowy, kiedy odebrali pocałunek pokoju synowsko-kapłański, trudno opisać.

Po odbytych prymicyach ks. Jan z woli władzy duchownej został wikaryuszem u swego proboszcza, przeniósł się z nim nawet do innej parafii, wziąwszy z sobą rodziców, następnie przeznaczono go za wikaryusza do miasta gubernialnego, gdzie zostawał przez lat trzy, ogłaszając wiernym naukę zbawienia z całą gorliwością kapłana.

W owem miasteczku, gdzie ks. Jan pobierał początkowe nauki, zawakowało probostwo; pan hrabia i tu mu jeszcze dopomógł. Żyjąc w sąsiedztwie z dziedzicem tego miasteczka, prosił go o udzielenie prezenty ks. Janowi, a gdy ją otrzymał, i nastąpiła jego *installacya*, czyli osiedliny, ks. Jan miał szczęście mieć u siebie w domu swego dobroczyńcę.

Nie rozwodząc się dłużej nad opisem niniejszego zdarzenia, to tylko powiemy, że ksiądz Jan przebywszy lat 20 w owej parafii, zyskał szacunek powszechny. Życie jego skierowane jest jedynie ku temu, aby Bogu wiernie służył i aby lud wierny jego opiece powierzony drogą cnoty prowadził. Jest on szczęśliwy

można powiedzieć, bo widocznie błogosławieństwo rodziców na nim spoczywa.

Żył długi czas z rodzicami swymi, kochał ich szczerze, nie żałował im kawałka chleba, a gdy go opuścili po długiem życiu, oblawszy ich grób łzami, nie przestaje wznosić modłów za nich i za swoich dobroczyńców, z których łaski i opieki naukę, szczęście i kawałek chleba odebrał. Hrabiostwo również są szczęśliwi, bo im Bóg daje błogosławieństwo swoje; wychowali dziatki uczciwie, powydawali córki za godnych obywateli, doczekali się wnuków. Syn ich podobnież chlubne zajmuje miejsce w obywatelstwie, Ks. Jan odwiedza czasem swoich dobroczyńców, a niedawno nawet będąc u nich, zastał tam przybyłe ich córki i syna, i zasiadłszy pomiędzy nimi jak w kole rodzinnem, czytał im swe prace umysłowe, a ta okoliczność przypomniała mu owe słodkie chwile młodości, w których taż sama rodzina słuchała, jak mały Jasio a dziś ks. Jan powtarzał z pamięci wierszyki z Pielgrzyma z Dobromila.

Trzydzieści i kilka lat upłynęło od tego wieczoru pamiętnego, któryśmy powyżej opisali, a nic się nie zmieniło w tej zacnej rodzinie; ta tylko zmiana rzeczy nastała, że gdzie był schłudny domek Macieja, w którym się Jasio rodził i gdzie Maciejowa gorące modły do Boga wznosiła, tam dziś jest piękny trawnik włączony do owocowego ogrodu, a wśrodku trawnika stoi młody klon, który ks. Jan odwiedzając niedawno, ze łzami w oczach pobłogosławił ręką kapłańską, aby przetrwał burze i wichry i był wiecznym pomnikiem owego miejsca, na którem modły cnotliwej jego matki Bóg wysłuchał i życzenia jej spełnił.

Świątobliwe niewiasty Polskie.

III.

ANNA-MARYA JABŁONOWSKA.

—

Urodzona roku 1634 z Alexandra Kazanowskiego wojewody Bracławskiego, rycerskiemi sprawami przeciw turkom i tatarom wsławionego męża, i z Anny Potockiej. W kolebce będąc, doznała cudu Opatrzności nad sobą, gdy bowiem horda tatarów gotowała się napaść na zamek jej rodziców we Fradze, uchodząc z niego do Podkamienia w zamieszaniu zapomniano biedne dziecię w kołysce, zostawione na srogą zemstę rozjuszonego poganina. Gdy dwór stanął na miejscu, ujrzano nieobecność dziecięcia. Wojewoda w rozpaczy ogłosił, iż kto mu córkę powróci, da mu ją za żonę. Odważny jeden dworzanin sztucznie mijając hufce najeźdźców, niebawem zdrowe dziecię oddał spłakanym rodzicom. Gdy Marya lat piętnastu doszła, ubiegał się o jej rękę Stanisław Jabłonowski, ówczasowo wojewoda Ruski, następnie kasztelan Krakowski i hetman wielki koronny, wsławiony licznemi zwycięztwy w narodzie, które imie jego unieśmiertelniły. Długo Marya opierała się temu związkowi, pamiętając dane słowo przez ojca odważnemu dworzaninowi, który z narażeniem życia ratował ją od śmierci, i wtedy tylko na ten związek przystała, gdy szlachetny wybawca zrzekł się sam prawa do jej ręki.

W stanie małżeńskim lat dwadzieścia i dziewięć żyła w nieposzlakowanej wierze, miłości, kształcąc dziatki tak na chwałę Bożą, jako chlubę kraju. Dostatków, któremi Opatrzność hojnie ją udarowała, nie na zbytki, wymyślne stroje i próżną wystawę używała, ale w ukryciu dzieliła je między biednych, sieroty, łożyła na szpitale, wykupno jeńców z niewoli tatarskiej. Szlacheckie panny w dom swój przyjmowała, ćwicząc w nabożeństwie, i z tych jedne posażąc, wydawała za mąż, drugie sposobiła na dobre i przykładne zakonnice. Sama każdej chwili życia na chwałę Boską użyć umiała. Co miesiąc dzień jeden poświęcała rozmyślaniu spraw ubiegłych, i w błędach poprawiać się starała, szczerze za ich spełnienie żałując. Co rok dni ośm zamykała się na osobności, uchylając od spraw światowych na ćwiczenia duchowne. To znów z gromadką przyjaciół bosemi nogami zwiedzała święte miejsca i tam w zakątku kościoła ukrywszy się przed okiem widzów, słuchała ofiary, lub krzyżem leżąc, rosiła pokutnemi łzami posadzki świątyń pańskich.

Gdy zaś Bóg zwiększał jej dostatki, stawała się coraz to pokorniejszą, hojniej sypiąc jałmużny wśród bliźnich bez wyjątku; progi jej były zamknięte tylko przed bezbożnikami.

Ze szczególnem poddaniem się woli Bożej znosiła wszelkie krzyże zsyłane na nią; tak z męstwem zniosła śmierć jedynej córki.

Pobożna ta pani szanowana w narodzie, szczyciła się szczególnemi względami Jana

IIIgo króla Polskiego i małżonki jego Maryi Kazimiry. Zmarła r. 1687 dnia 23 lutego w 44ym roku życia, z powszechnym żalem męża, domowników i kraju.

Był przy jej śmierci królewicz Jakób, który jej oczy sam zamknął.

Królowa Marya-Kazimira mając ją za wielce świątobliwą, odwiedzając ciało, nogi całowała.

Zwłoki jej złożone zostały we Lwowie w kościele Jezuitów i uczczone solennym pogrzebem, na którym było dwóch kardynałów: *Palawici* legat Papiezki, i *Radziejowski* arcybiskup Gnieźnieński kardynał; dwóch zaś wsławionych nauką mężow jako to: Chryzostom *Załuski*, natenczas biskup Płocki, i Abraham *Denhoff* biskup kamieniecki, kazaniami swemi uczcili pamięć tej świętobliwej niewiasty.

Pani ta kościół w Janowie wystawiła; w Fradze ołtarzem świątynie ozdobiła i różnemi apparatami wzbogaciła.

Rzeźbiarz z Zakopanego.

—

Znów zaprowadzę was, czytelnicy mili, do podnoża tych gór wysokich, zwanych Tatrami, o których już słyszeliście odemnie. A ciekawa to okolica i obchodzić nas powinna, kiedy w niej tak pięknie mówią popolsku i tak serdecznie swoje rodzinne kąty kochają. Okolica ta górska, będąca południowym krańcem prowincyi Galicyą zwanej, zostającej dziś pod panowaniem austryjackiem, dzieli się na mniejsze lub większe osady, w dolinach rozłożone. Jedna z tych ostatnich, zwana doliną Białego *Dunajca,* dlatego, że tam ta bystra rzeka z szumem i łoskotem z gór wypływa, jest jedną z bardziej posunionych wgłąb samego łańcucha Tatrów; śmiało więc powiedzieć można, że tam jest koniec polskiego świata, bo po drugiej stronie gór, zaczyna się kraj węgierski i tak się tam łączą dwie granice, że tylko miejscowi wiedzieć o nich mogą dokładnie. Dawniej też śpiewano u nas pieśń poczynającą się od tych słów:

Węgier, polak, dwaj bratanki,
Czy do szabli czy do szklanki i t. d.

W dolinie Białego Dunajca leżą zakłady hutnicze, w których wytapiają rudę żelaza. Szereg ten fabrycznych budynków, zakończony mieszkalnym domem właściciela, nazywają górale *hamer*, od wyrazu hamernia. Wieś Zakopana z którą te kuźnice jednę stanowią całość, leży nieco dalej, a długa jest blisko na milę i do dwóch tysięcy dusz w sobie liczy. Przed laty była to tylko pasterska osada, gdzie w szałasach mieszkali przez lato gospodarze, czyli jak się tam zwą *gazdowie*, doglądając trzód swoich. Później dopiero zaczęli tu się osiedlać ludzie i z dalszych okolic, a wziąwszy się za ręce, wytępili pospołu rabusiów i złodziei, którzy napadali ich ciągle, mając bezpieczne schronienie w otaczających górach. Dzisiaj wszyscy zapewniają, że złodziejstwo nieznane w Zakopanem, na noc nawet nie zamykają domów, konie zaś zostawiają bezpiecznie na paszy. Smutną jednak było rzeczą dla mieszkańców Zakopanego, że do kościoła parafialnego niezmiernie mieli daleko. Lecz od dziesięciu lat i w tem zaszła zmiana szczęśliwa; stanął w samym środku wsi kościołek drewniany wprawdzie i maleńki, ale z pięknemi organami sprowadzonemi z Krakowa, którychby i murowany kościół mógł pozazdrościć; a czysty jest i schludny jak przystoi dla domu Bożego. Jak słyszymy że zadzwonią w naszym kościele, mówią Zakopianie, to nam się aż serce raduje—myślimy sobie, że teraz bliżej nas Pan Bóg. Ale największe dobrodziejstwo Bóg wyświadczył ludowi temu, dając mu tak gorliwego, rozumnego i owieczki swe kochającego proboszcza, jakim jest ksiądz Stolarczyk. On jest dla nich ojcem najlepszym, zna ich kłopoty, ich potrzeby; tego pocieszy, temu da dobrą radę, z tym porozmawiawszy się, nauczy wiele pożytecznych rzeczy.

Jak oni go też wszyscy kochają, jak się radzą we wszystkiem, jak słuchają z ufnością; a tak się wiele rzeczy dobrych od niego nauczyli, że ich zaraz rozpoznać można od drugich galicyjskich wieśniaków. W niedzielę, kto się nie może wcisnąć na kazanie do małego kościołka, to mu z żalu aż łzy w oczach stają i po obiedzie rusza powtórnie do kościoła na naukę katechizmu, na suplikacye i litanię do Matki Boskiej, które zwykle sam proboszcz z wielkiem śpiewa nabożeństwem. Następnie szanowny kapłan zajmuje się nauką śpiewu; to też rzadko gdzie tak czystym i mi-

łym głosem śpiewają, jak w Zakopiańskim kościele.

— Takiego księdza jak nasz, to pewno nigdzie niema, mówił raz gospodarz z nazwiska Król, do wychodzących razem z nim ludzi z nieszporów.

— Oj! co prawda, to prawda, odpowiedział mu drugi; jak spojrzy na człowieka, to zaraz zgadnie, co myśli; przed nim zmyślić nie można.

W tem rozległy się wołania: Jędrek, Jędrek! I pokazał się na zakręcie drogi młody człowiek, z sokolem piórem, zatkniętem u kapelusza, co strzelca oznaczało.

Wszyscy go witali ze zdziwieniem i radością, bo go mieli za straconego, gdyż od dwóch miesięcy jak się wybrał z drugimi w góry na polowanie, słychu o nim nie było.

—Żyjesz chłopcze? no, to niech będzie Pan Jezus pochwalony, rzekł Król.

—Żyję i zdrów, chociaż, ledwiem nie umarł z głodu; to widoczna łaska Boska. Zapędziłem się daleko za kozami aż ku Kizmarkowi, a jak mnie zatarasowały śniegi i mgły na Łomnicy, to już myślałem, że mnie i pogrzebią.

— Że cię to tam głód nie zmorzył? powiedział jeden.

— Ba! miał wodę, zaśmiał się drugi.

— Smiejcie się zdrowi, ale mogę powiedzieć, że mnie sama woda utrzymała przy życiu, bo ostatniego dnia nie miałem ani *oszczypki* (ser owczy w baryłkach), ani kawałka placka z mąki owsianej lub kukurydzowej, chleba zaś takiego jak nasz, nie znają zupełnie.

—Prawda, że u nas ziemia płonna i dobrze mówią, chleb się tu kończy, a zaczyna woda, ale takiej wody niema w żadnym kraju.— Ona też razem z tem naszem gorskiem powietrzem nas utrzymuje.

— I cóż? zapytał go jeszcze Król, nie znalazłeś tam czasem jakich skarbów ukrytych w naszych Tatrach? (1).

-- Skarby już musieli dawno powybierać *zbójniki* (zbójce), lecz za to przywlókłem do domu sliczną kozę— i ptastwa też się trochę znalazło.

Jędrek lubo omało co głodną śmiercią nie zginął, gotów był choćby nazajutrz ruszyć znowu w góry z fuzyjką, z takim zapałem górale oddają się polowaniu, szczególniej na kozy, które w najdzikszych tylko i najniedostępniejszych przebywają skałach. Ojciec jednak Jędrka, imieniem Adam, lubo jeszcze nie starynie trudnił, się ani pasterstwem, ani polowaniem, temi ulubionemi zajęciami górskiego mieszkańca. Najczęściej siedział w chatce lub przed chatą i rzeźbił z drzewa różne figurki, lichtarze i tym podobne rzeczy. Jego to roboty były ołtarze w Zakopanem, a wszyscy się dziwili, jak on mógł nigdy się nie ucząc, takie piękne robić rzeczy. Ale już to na świecie bywają ludzie, których zdaje się że sam Pan Bóg do tej, lub owej roboty sposobi, tak im składnie idzie to, czegoby drugi i przy najdłuższej nauce nie potrafił. Sprawiedliwie też to nazywają darem bożym i szanują w człowieku, nie jako jego własną zasługę, lecz jako właśnie widomy znak łaski boskiej. Wejdźmy teraz wraz z Jędrkiem i Królem do chaty jego będącej w Gliczarowie, wsi, która należy do Zakopanego. Chaty wszystkie tej okolicy jakkolwiek budowane bez kominów, o wiele się różnią porządkiem i wygodą od nędznych wiejskich lepianek, jakie gdzieindziej widzieć można. Są one zwykle dość duże, z pięknego zbudowane drzewa, pobite gontami lub dranicami. Nie mają zwyczaju tamtejsi ludzie bielić ich ani z wierzchu, ani we środku, to też tém łatwiej utrzymać je w porządku przez mycie. Podłogę dają wszędzie nawet czasami i w sieni. W jednéj izbie zwanej *czarną* gotują i gospodarskie odbywają zatrudnienia, w drugiej porządniejszej, sypiają. Tam dokoła pod ścianami stoją długie ławy, w jednym kącie czysty stół najczęściej jaworowy, czasem i parę stołków pięknie wyrobionych, a prawie zawsze warsztat tkacki. Przytem w każdej chacie jest także komora. Chociaż, jak powiedziałem, chaty górskie nie mają kominów, dym jednak nie zaciemnia i nie kopci mieszkania, jak w chatach zwanych *kurnemi*, w których to nie przyzwyczaiwszy się, oczów przed dymem otworzyć nie można. Zwykle przy drzwiach izby stawiają piec z ogniskiem obielonem, z wystającą kapą, zkąd dym wyprowadzony ponad powałę na górę, wychodzi na pole bocznym otworem.

(1) Lud tamtejszy utrzymuje, że niezmierne bogactwa są ukryte w górach Tatrach, chociaż nikt nigdy żadnych skarbów nie znalazł, a oprócz żelaza, innego nie dobywają kruszczu.

Zupełnie tak była chata Zakopańskiego rzeźbiarza. Obok równie porządnie wystawione zabudowania gospodarskie, łączyło podwórze całe wybrukowane kamiennemi płytami. Kałuży ani błota nigdzie widać nie było, przed drzwiami domu rozciągała się śliczna łączka zielona z małą studzienką, do której droga także kamieniami wyłożoną była; tuż obok kilka rozłożystych jesionów cień dawało; lecz nie dopatrzyłby tam żadnego drzewa owocowego, bo ich w górach z przyczyny długiej zimy, któraby owocom dojrzeć nie pozwoliła, nie utrzymują. Gdy się Król z Jędrkiem zbliżyli, zobaczyli gospodarza siedzącego na kamieniu przed domem, lecz on ich długo nie widział, tak był zapatrzony w skaliste wierzchołki naprzeciw leżących gór, które się rysowały czysto i wyraźnie na tle nieba, oświeconego zachodzącem słońcem. Jakie to tam było miłe i orzeźwiające powietrze, jaki cudowny widok tych skał rozrzuconych wśród zieloności świerkowych lasów, to ja wam tego opisać nie potrafię. Ale czuł widać tę piękność *gazda*, bo się zadumał głęboko, podniósł w górę oczy, a usta jego powtarzały słowa modlitwy. Nareszcie spostrzegł nadchodzącego syna z Królem.

— A! to wy? rzekł, wyciągając ręce, Bóg z wami.

— Cóż wy się tak zapatrzyli? zapytał Król, na jutro deszcz się zbiera.

— Oj! słota długa będzie; najwyższe *wirchy* widać czysto, (2) odrzekł.

Potem wszedł z nimi do chaty i pokazał zdziwionemu i uradowanemu synowi ulepioną z gliny dziką kozę, tak do żywej podobną, że się nią patrzący nacieszyć nie mogli.

— Co to za majster!... jak on się tego nauczył? mruczał zwolna Król, kiwając głową, a Adam odsłoniwszy białe płótno, pokazał mu stojącą w kącie swoję ostatnią robotę.

Adam pokazał jeszcze kilka robót swoich, cała bowiem główna izba była niemi zawalona. Między innemi stał obstalowany do sąsiedniego kościołka ołtarz, jeszcze piękniejszy od tych, które były w Zakopanem, bo zdawało się że ręka Adama od dnia do dnia zręczniejsza.

(2) Przed słotą zwykle wierzchołki gór widać wyraźnie na błękicie nieba, na pogodę zaś leżą na nich jakby białe obłoczki.

Na drugi dzień deszcz padał ulewny; przed szaremi mgłami ani gór, ani lasów widać nie było. Szumiały bystre potoki, spadając w doliny z przerażającym łoskotem, mimo to jechał obślizgłą drogą Adam do Krakowa, wioząc swe dzieła i wcale wesołym głosem zachęcał do biegu koniki swoje, raz, że taka ulewa dla nas straszna, była dla niego rzeczą bardzo zwyczajną, powtóre czuł, że robota mu się udała, więc był wesół i wdzięczen Panu Bogu, a dobry humor na jego malował się twarzy.

Skoro zobaczono jego robotę w Krakowie, zapragniono widzieć i jego samego, tak się dziwili wszyscy, co się na tem znali, że człowiek który się nigdy rysować nie uczył, co nie miał o tej sztuce najmniejszego wyobrażenia, mógł równie pięknie wykonywać roboty.

Skorzystał Adam ze swej bytności w Krakowie, żeby obejrzeć kościoły, a nauczył się wiele, patrząc na tyle pięknych ołtarzy i posągów; uwagami swemi zdumiewał wszystkich. Pewien bogaty francuz będący wówczas w Krakowie, mówił mu, że go zabierze z sobą do Paryża. Adam rozśmiał się, za żart to biorąc, francuz zaś nie mógł zrozumieć, jak to być może, żeby kto do jego kochanego Paryża jechać nie chciał. Prosił więc, żeby jasno wytłumaczono poczciwemu góralowi, jakie go szczęście w Paryżu czeka i że za to dostanie dużo pieniędzy.

— Wolę ja góry moje, powiedział Adam

— To jak się zbogacisz, wrócisz do swoich; dostaniesz tam tyle pieniędzy, ileś ich jeszcze nie widział.

— Pieniędzy? powtórzył Adam zdziwiony, a na cóżby mi się zdały, kiedy jabym tam nie żył?

Przetłumaczono tę odpowiedź francuzowi, któremu zakręciła się łza w oku i uściskał więc rękę szlachetnego górala. Nasz Adam zatem wychwalany i suto obdarowany od wszystkich, co go w Krakowie widzieli, ruszył kontent i wesół w góry swoje, a przechodząc przez stary Sącz, wstąpił pomodlić się przed wizerunkiem Stej Kunegundy, niegdyś królowej Polskiej, tej najmilszej patronki górali. On bowiem łaskę ludzką, która na niego spłynęła, pochwały, które słyszał o sobie, przypisywał nie zasłudze swojej, ale Boskiej nad sobą opiece. Padłszy zatem na kolana w kościele pp. Klarysek, modlił się gorąco, dziękując Pa-

nu Bogu za doznane szczęście i ślubował że na ołtarz Stej Kunegundy, wyrobi parę pięknych drewnianych, pozłacanych lichtarzy.

Przybywszy do Zakopanego musiał się naprzód stawić we dworze, a nim mógł ruszyć do chaty swojej, oddalonej o dobrą milę, zerwał się od strony góry zwanej *Giwontem* straszny wicher, tak dobrze znany tamtejszym mieszkańcom, że już nakilka dni wpiérw przepowiedzieć go umieją z różnych znaków, które rozumieją tylko sami. Wszystko, co żyje, tuli się wtedy pod strzechy, bo wicher ten okropny zmiata jak źdźbła słomy, ludzi i bydło z gór w przepaście, stacza w doliny bryły kamieniste, ściera na proch dojrzewający owies, tę jedyną nadzieję pożywienia w zimie biednych górali.

Adamowi ścisnęło się serce na myśl, czy tam czasem burza Jędrka na polowaniu nie zaskoczyła, lecz musiał pozostać w Hamrze, dopóki wszystko nie ucichło, bo pokazać się na drodze było niepodobieństwem.

Nad wieczorem dopiero dostał się do swej chaty, gdzie wszystkich zdrowych zastał. Wieczoru nie starczyło mu na opowiadanie rodzinie o wszystkich ciekawych rzeczach, które widział w Krakowie. Na drugi dzień, skoro słońce zeszło, poszli obejrzeć swój owies na polance, znaleźli go zniszczonym zupełnie i zawalonym gruzami ze świeżo oderwanej skały.

I za to Boga chwalić, powiedział Adam z pokorą; nie będzie biedy, bom przywiózł pieniędzy z Krakowa, a do Paronina zamówili też u mnie nowy ołtarz.

I nikt z tej ubogiej rodziny nie narzekał na swoję ziemię, że taka nieurodzajna i niewdzięczna. Owszem, góry po burzy wydały im się jeszcze piękniejsze, a takie kochane!... poszli napowrót do chaty, śpiewając wesoło.

Wiecież wy, dlaczego góral tak zawsze kontent, choć w ubogiej żyje okolicy? Bo przestaje na tem, co ma, bo zbytków nie pragnie, a nadewszystko nie upija się po karczmach. Pijanego tam nikt nie zobaczy, choć używają wódki przy weselach i chrzcinach i tańczą zapamiętale. A krzepcy są i zręczni; przez lato szczególniej też pasterze żywią się prawie samą serwatką. Więc choć pozornie ubożsi, bogatsi są od innych wieśniaków, a znać to w ich mieszkaniach szczególniej, które tak piękne i czyste, jak trudno gdzieindziej podobnych zobaczyć.

TRZCINA CUKROWA.

Jest to roślina z kształtu bardzo do naszej trzciny podobna, a w tem różna, że jej łodygi do $2\frac{1}{2}$ cali grube, a do 20 stóp wysokie, po wierzchu są twarde, a wewnątrz napełnione tkanką komórkowatą, zawierającą wiele słodkiego soku, z którego wyrabiają cukier. Pierwotną ojczyzną trzciny cukrowej są Indye Wschodnie, następnie pozaprowadzano uprawę trzciny cukrowej po całej kuli ziemskiej, po koloniach Europejskich, gdzie tylko klimat do jej wzrostu był stosowny. Łodygi trzciny do zupełnego wzrostu potrzebują od 12 do 18 miesięcy, dlatego też trzcina może być tylko w tych krajach uprawianą, gdzie niema zimy.

Czas zbioru trzciny bywa tam czasem najweselszym. Na kilka tygodni przed zbiorem cała plantacya trzcinowa oczyszcza się z chwastów. Potem dozorcy murzynów dają im zakrzywione jak sierp noże, i każą im zrzynać naprzód wierzchołki łodyg, a potem i same łodygi do młynów trzcinowych. Tu zaczyna się najtrudniejsza i najniebezpieczniejsza robota gniecenia trzciny, która się wykonywa za pomocą trzech grubych walców, ledwo na kilka cali jeden od drugiego ustawianych, tak wielką siłą obracanych, iż najmniejsza nieostrożność może narazić biednego murzyna na okropną śmierć, gdyż może być na miazgę zgruchotany; najwięcej zaś nieszczęśliwych przypadków zdarza się w nocy. Sok wyciśniony ze trzciny spływa do koryta, a właściciel plantacyi pilnie przestrzega, aby wszystkie części młyna jak najczyściej były utrzymywane. Jeden taki młyn częstokroć wyciska w przeciągu tygodnia do 500 centnarów soku cukrowego.

Głównym celem uprawy trzciny cukrowej jest otrzymanie słodkiego soku z którego chcąc otrzymać czysty cukier krystalizowany, jako w handlu głównie sprzedają, wiele jeszcze robót podając potrzebe. Urządzono więc oddzielne fabryki zwane rafineryami, trudniące się przerabianiem soku na cukier.

(Dokończenie nastąpi).

W druk. J. Ungra. — Wolno drukować. — Warszawa d. 17 (29) marca 1859 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*